

ZYGUNT LEWARTOWICZ.

ZEMSTA

(Dokończenie)

—:o:—

Nie mogła już dłużej znieść tego niepokoju i niepewności.

Zmogła się więc, ujęła i spytała po raz wtóry:

— Co zrobisz?

On lekko się uśmiechnął, ale w uśmiechu jego był zda się kompleks wszelkich uczuć bólu.

— Powiedziałem przecież. Chcesz wiedzieć szczegóły, a to po co?

Trzy dni i trzy noce nie śpię i jeno myślę i myślę.

Najprzeróżniejsze pomysły przemykały mi przez zbolaty mózg.

Z początku myślałem zabić jego — jako stojącego na przeszkodzie naszemu szczęściu. Ale pomysł ten wydał mi się tak banalnym, a przytym tak niesprawiedliwym!

Bo czemuż on zawinił, że Cię kocha?... Że nie miał w duszy swej dumy, i umiał wszystko zapomnieć i przebaczyć, to jest sprawą jego duszy, która mnie bynajmniej nie obchodzi.

I czy usunięcie jego zdołałoby przywrócić moje szczęście, czy zdołałoby zatrzeć to, co w duszy Twojej się zrodziło, czy nie patrzyłaś na mnie z większym wyrzutem w oczach jako na mordercę?

Pojąłem wyraźnie, że usunięcie jego szczęścia nie przywróci, więc odrzuciłem tę myśl.

Potym pomyślałem o sobie, widziałem, że moje życie zostało przez Ciebie zdruzgotane, że żadna kobieta nie będzie dla mnie tym, czym ty byłaś, że postaci Twojej nie nie wymażę z mej pamięci. Pomyślałem o moim życiu bez Ciebie.

Pustka, tryumfy życiowe, rozbijające się o tę jedną myśl, że tego, co najwięcej ukochałem — mieć nie mogę, a przytym noce gorzkiej refleksji i zgryzot — oto bilans mego istnienia bez Ciebie.

I doszedłem do ostatniego wniosku: wpakuję sobie kulę w łeb.

Śmierć nie przestraszała mnie. Tym bardziej, gdy miała być wyzwoleniem z męk, które mnie oczekiwały, stała się dla mnie chwilą mi czymś upragnionym.

Więc dziwisz się, czemu jeszcze żyję, sądzisz, że w chwili ostatniej stchórzyłem.

Nie — nie strach przed śmiercią, nie miłość życia zdołała mnie powstrzymać.

Powstrzymała mnie od tego kroku Inna myśl.

Pomyślałem o twoim niezmaconym szczęściu, w którym miałbym ci własnoręcznie usunąć największą przeszkodę, siebie.

I ta myśl stała się dla mnie biczem, który odganiał mnie od błyszczącej lufy rewolweru.

Rozbudziła się moja duma, zbuntowało się moje „ja” przeciw tej ofierze z mojej strony.

Myśl o twoim szczęściu sztychowała ze mnie i kpila.

To też zbuntował się we mnie mój hardy duch i rzuciłem tę myśl, jako i poprzednią.

A wreszcie pomyślałem o tobie. Pomyślałem, iż zemsta moja oprzeć się może i powinna tylko na tobie, żeś ty sprawczynią mego bólu i ty powinnaś ponieść zasłużoną karę...

— Tak — tyś zniszczyła życie człowieka, który w to życie uwierzył, który mu ufał, szedł naprzód, zapatrzone w swoje sny młodzińcze, w swoje fantasmagorie.

Tyś dla kaprysu pociągnęła go ku sobie, i jako wygraną już kartę cisnęłaś, nie myśląc co się z nim stanie, jak żyć będzie bez ciebie?

Przerwał i otulił się w kłęby dymu papierosa. Milczał...

W pokoju panował nastrój smutny i przygnębiony, nad głowami byłych kochanków unosiły się miazmy tragedji...

Milczał, a milczenie to było okropniejsze od najcięższych wyrzutów...

Ona nie mogła już znieść dłużej tego milczenia, więc znów wróciła do myśli, która ją trapiła i spytała głosem zdenerwowanym i pełnym lęku:

— Powiedz, co zrobisz? zabijesz mnie? Dobrze, zabij...

— O, nie — odpowiedział, — to byłoby tak śmieszne, proste i banalne. Moje uczucie względem ciebie było nieprzeciętne, było kwiatem egzotycznym, to też kara musi być okrutną i wyszukaną...

— Błagam cię, powiedz mi, co zrobisz?... — Nic. Kara spadnie na ciebie w chwili, gdy będziesz się tego najmniej spodziewała, gdy będziesz czuła się spokojną — wówczas odczujesz ostrze miecza mojej zemsty, za mój ból, za strzaskanie życia...

Tej kobiety umysł, nie przywykły do abstrakcji, szukał konkretnego wyjaśnienia...

— No, to oblejesz mnie witryolem w dniu mego ślubu, albo zniesławisz mnie, albo zszpecisz?

— Nie... Fi donc, to są rzeczy zbyt jarmarczne dla mnie. Życie moje szło linją, pnącą się wzwyż, ryzykowałem je dla pięknych chwil, nie zdołałbym więc teraz postąpić jak pijany szynkarz lub apasz...

Niel moja fantazja twórcza pozwoliła mi zbudować piękną zemstę... a przytym straszniejszą, okrutniejszą od wszelkich dotąd znanych, subtelną w swym założeniu, a tragiczną w rozwiązaniu, która uderzy cię jak martwy łeb taranu... Uderzy i zdruzgotuje...

— A wówczas? — spytała.

— Wówczas będę spokojny, zrzeknę się porwów do słońca, a żyć będę szarym życiem wielkowiejskiego pustelnika.

Odeszła z bólem i wielkim lękiem w duszy. Zrozumiała, iż groźba Jana to rzeczywiście zapowiedź nieszczęścia, które na nią spadnie...

Dnia następnego Jan wyjechał z Nicel. Nie wiedziała dokąd, gdyż pocztę kazał zachować aż do swego powrotu.

Rozpoczęły się dla Margot dni szczęścia. Wróciła do tamtego, który starał się z jej drogi pył usunąć, kwiatami ją zasypywał i pleśzczałami...

Lecz myśl, rzucona silnym rozmachem twórcy, nie gaśnie szybko, kiełkuje ona w zmęczonym mózgu, aż wykwitnie kwiat bólu, szkarłatny, fiołkowy, tragiczny.

Ziarno lęku, rzucone mistrzowskim ruchem przez Jana, zdołało wpić się i wgrzyźć w mózg Margot z siłą wciąż wzrastającą.

I zaczęło kiełkować i wpijać się coraz głębiej i głębiej w mózg wrażliwej, przeczulonej kobiety.

Pewnego dnia, gdy będąc w towarzystwie swego kochanka przez chwilę zdołała zapomnieć o znieciercierowanym już Janie, gdy uczuła się spokojną i szczęśliwą — nagle na tle ciężkiej portjery, oddzielającej duże komnaty, ujrzała postać Jana. Błady był, odziany w mniszy strój, a w rękę widziała błyszczącą lufę rewolweru, skierowaną w jej serce.

Krzyknęła przerażliwie: — Patrz!!!

Lecz zjawy już zniknęła. Ona zaczęła szlochać i płakać. Była to pierwsza hulacynacja... Lekarz orzekł silny stan zdenerwowania, połączony z podwyższoną temperaturą.

Polecił całkowity spokój i usunięcie wszystkiego, coby mogło chorą podrażnić.

Mimo polepszenia stanu fizycznego Margot, halucynacje wciąż się powtarzały.

Margot widziała w nich Jana w przeróżnych postaciach. Najczęściej jako boksera. Wówczas zdawało jej się, że jego wielka ręka w czarnej rękawicy kieruje się w jej twarz. W szalonym strachu kryła się w kąty komnaty, prosiła, by ją bronić, by ratować, gdyż sama jest zbyt słaba do walki, że on ją zabije, zamorduje okrutnie...

Próżno Harry starał jej się wytłumaczyć, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, że tamten wyjechał daleko za morza, do Australijskich puszczy, że gdyby wrócił, on, Harry ją obroni, zabije tamtego — nie wierzyła. Jak w malignie powtarzała tylko: on jest silny, potężny i spełni, czym mi zagroził...

Tyś dobry i szlachetny, lecz za słaby, aby z nim walczyć...

Nie uratuje innie już nic, on jest w bliskości, wyjechał tylko pozornie, a w rzeczy samej, jest tu w bliskości i czai się tylko, aby wykonać swój okrutny plan zemsty...

I płakała gorzko i beznadziejnie.

Lekarz orzekł wreszcie, że konieczną jest zmiana miejsca pobytu. Wyjechali do Włoch.

Jeździli z miasta do miasta, jakby uciekając przed jakimś fantomem, który ich ścigał. Podróżowali, na jej żądanie, pod przybranym nazwiskiem.

Próżno tłumaczył jej Harry, że ich tu już nikt nie znajdzie, ani nie rozpozna.

Z początku wierzyła i miewała znów te swoje piękne, promienne dni... Jej blada twa-

rzyczka stawała się piękną, a z fiołkowych oczu zniknęła przysłaniająca je mgła, lecz trwało to tylko do pewnej wizji.

W Weronie, gdy byli na znakomitej arenie, nagle zdołała jej się, że z jednego z bocznych wyjść idzie on, z zakrwawionymi rękoma idzie prosto ku niej, aby ją rzucić na żer dzikim zwierzętom, których pomruk słyszała z za krat...

A wtedy nie pozostawało nic innego, tylko pakować kufry i uciekać.

— Ratuj mnie, — błagała, tuląc się do Harrygo jak dziecko, — ratuj mnie przed nim, przecież wszystko to zrobiłam dla ciebie.

Lekarze, po szczegółowym zbadaniu, orzekli, że Margot cierpi na manję prześladowczą, w stopniu jeszcze niezbyt rozwiniętą, jednakże niebezpieczną ze względu na ogólny stan osłabienia i na możliwość dalszych komplikacji.

Harry tracił głowę.

Po tysiącokroć zapytywał siebie, co czynić? w jaki sposób ratować nieszczęśliwą, a tak przez niego ukochaną kobietę. Przychodziły mu na myśl najdziwniejsze plany. Wreszcie zdecydował się zobaczyć z Janem, może wówczas uda się zaradzić złemu.

Lecz próżno szukał go przez różne biura wywiadowcze, nigdzie go nie było.

A przez ten czas choroba Margot stawała się coraz poważniejszą, jej twarz coraz bardziej była blada, a w oczach malował się wzrastający lęk.

Wreszcie znakomity psychiatra w Wiedniu orzekł, że stan chorej budzi poważne obawy, i że koniecznym jest umieszczenie jej w domu umysłowo chorych. Nic nie pomogły perswazyje Harry'ego...

Po kilku miesiącach Margot na tle obłądki i ogólnego wycieńczenia zachorowała w szpitalu na zapalenie mózgu. Jej słaby organizm nie wytrzymał trwającej gorączki.

Po kilku dniach w ramionach Harry'ego umarła.

• Zemsta boksera była straszna i okrutna.

Na grobie jej złożył wielki kosz fiołków, poczem pojechał znów, daleko za morza, aby w poszukiwaniu nowych zwycięstw zapomnieć o jednej wielkiej klęsce.

K O N I E C

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

—o—

GAZETA ZAWINIŁA.

W redakcji dziennika.

— Przychodzę z zażaleniem. Zamieścił się panowie notatkę, że złodziej skradł mi pieniądze z jednej szuflady biurka i na szczęście nie zauważył w drugiej szufladzie kosztownego zegarka.

— I cóż, może napisaliśmy nieprawdę?

— Owszem, prawda, ale po zamieszczeniu notatki, złodziej przyszedł do mnie poraz drugi i... zabrał zegarek!

MYŚL PACJENTA.

Niektórzy lekarze są o wiele niebezpieczniejsi, niż sama choroba.

W SZKOLE.

— Powiedz mi, Stasiu, co trzeba przede wszystkim zrobić, żeby uzyskać odpuszczenie grzechów?

— Przedewszystkiem trzeba zgrzeszyć.

ROZTROPNY POSŁANIEC.

Naręczony damie swego serca posłał przez posłańca bukiet. Po upływie kwadransa posłaniec powraca z bukietem.

— Cóż to, czy panny Wandy nie zastał się w domu?

— Owszem, proszę pana, sama bukiet przyjęła, przycisnęła go do ust i rzekła: Jest on dla mnie drogi, bardzo drogi...

— Cóż dalej?

— Ja na to: Proszę pani, jeżeli pani nie zgadza się na cenę, to mój pan nie może odstąpić ani feniga. Wziąłem z jej rąk bukiet i oto jestem...